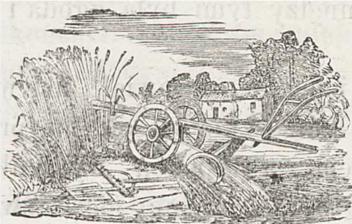
Tom II. 1. Listopada 1870. Nr. 13

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Lepsza słomiana zgoda niż złoty proces.

We wsi Zbudowie żyli od lat wielu dwaj sąsiedzi, Szymon i Antoni w zgodzie i przyjaźni. Najmniejsza kłótnia nie zamąciła ich spokoju. Daleko i szeroko i ze świecą nie znalazłbyś ponoś podobnej sąsiedniej zgody i miłości jak między nimi. Boć to u bliskich sąsiądów, choć już nie z złego serca, lecz z samej ułomności ludzkiej zachodzą kiedy niekiedy poswary i gniewy o lada jakie głupstwo. Ale między Szymonem a Antonim, choć to chaty ich i stodoły przypierały do siebie a ogrody ich i grunta dzieliła tylko wąziuteńka miedza, nigdy nie było kłótni i gniewu żadnego. Nastała wiosna i robota w polu, wychodzili razem Szymon i Antoni, każdy na swoją rolę, a nigdy nie przeorał jeden drugiemu miedzy. A jeżeli Szymon dokończył orki, a Antoni mozolił się jeszcze nad swoją, przenosił Szymon pług na rolę Antoniego i pomagał mu, by też nazajutrz razem wyjść mogli z ziarnem i razem zasiać, a kiedy przyjdzie żniwo razem zbierać i razem tłokę sprawiać. Gdy się udało Antoniemu lepsze ziarno lub kartofle, to udzielał ich Szymonowi do zasiewu i sadzenia. Zachorowała Szymonowa, to już na krok nie odstępowała jej Antoniowa i rządziła podtenczas w domu Szymonowej jak we własnym. A nadeszły święta, to jedna bez porady drugiej ani nie upiekła ani nie zgotowała, a najczęściej razem

wypiekały paski i baby wielkanocne. Mieli zaś ci sąsiedzi po jednemu synu, a i między tymi była zgoda i miłość jak między ich ojcami

Szymon razu jednego sprawiał imieniny i zaprosił na nie wielu gości. Kumoszki wesołe wyprawiały rozhowory to o tem to o owem, a Szymon wyszedł z Antonim ręka w rękę z chałupy, by odetchnąć nieco swieżem powietrzem. Wyszli na podwórze i oglądali snopki w stodole i siano w brogu i krówki w oborze i koniki w stajni, a dalej owoce w sadzie. Szymon strąca kijem to gruszkę to jabłko, a dzieciaki, co to krok w krok łażą za ojcami, poskoczą i podadzą Antoniemu i o sobie nie zapominają. Antoni choć je nieraz już jadł, toć przecie z życzliwości dla lubego sąsiada kosztował a chwalił, by ucieszyć Szymona. Pomału z sadu wyszli na pole i nuż się naradzać może już po raz setny, jak to przyjdzie na przyszłą wiosnę zasiew zmienić, gdzie stała pszeniczka zasiać żyto, a na żytnisku jęczmień i t. d. Rozmawiając, usiedli sobie na miedzy boć się już chodzeniem po gradach nieco zmęczyli.

Słońce się już dobrze schyliło ku zachodowi i łagodnemi promieniami przyświecało tej miłości niebieskiej na ziemi.

— Oby nam Bóg dozwolił jeszcze długie lata cieszyć się razem w miłości i zgodzie i dożyć pociechy z dziatek naszych, by naśladowały ojców swoich Bóg ich jak nas błogosławić będzie — zawołał Szymon; — a gdy domawiał słów tych, zdjął czapkę, co też i Antoni uczynił, a chłopaczki porzucili swe zabawki i nuż tulić się do swych ojców i przysłuchiwać się ich rozmowie

— Dałby Bóg i Matka cudowna — rzecze Antoni — aby ta nasza miłość i zgoda przeszła na dzieci nasze, a wtedy nieżalby człeku umierać, boć kto żył z ludźmi dobrze na ziemi i miłował bliźnich a Boga się bał, tego czeka wieczna nagroda. Słuchaj synu! jak ci dzisiejszy dzień, dzień imienin Szymona, wiele sprawił radości i uciechy, tak ty uradujesz serce ojca twego, jeśli będziesz kochał bliźnich, żył w zgodzie z sąsiadami jak ojciec twój z Szymonem, a Bóg się w niebie radować będzie i zeszle błogosławieństwo na ciebie.

— Kochajcie się dzieci, — zawołał rozrzewniony do łez Szymon, — kochajcie się, choć nas już nie stanie, jak bracia;

a Bóg odpuści ojcom waszym winy i przyjmie ich do chwały swojej, boć dobry przykład zostawili synom swoim.

Gdy te słowa kończył, rozległ się cudnie miły głos dzwonka wieczornego. Szymon i Antoni uklękli na miedzy, a między nimi ich dziatki, złożyli ręce i odmawiali Anioł Pański.

II.
Franek idzie w rekruty.

Od tego czasu minęło w zgodzie i przyjaźni lat kilka jak biczem trzasł. Synowie Wawrzek i Franek podorastali i wyręczali ojców starych w pracy. Jednego poranku przyniósł woźny od mandatarjusza Niemca do Antoniego i Szymona rozkaz, aby swoich synów dostawili do mandatarjusza, a ten ich w rekruty powiezie do cyrkułu, bo nadszedł czas branki.

Szymon i Antoni posłuszni władzy sędziowskiej odstawili s ych synów, a choć przypominali, że jest jakieś prawo, które nie każe brać jedynaków w rekruty, zakrzyczał ich mandatarjusz.

-- A to wi neficie, sze teraz wojna, a wojna prawo ne ma, to ja, jak rozkaszę tak bedże, a wiszcie miszleli, sze ja sze wam na nic nie przidam. Pójdą w rekrut bo ja tak kaszę.

Gdy to mówił, śledził oczyma dobrze ruchy Szymona i Antoniego, którzy do siebie się zbliżyli i szepnął jeden drugiemu coś w ucho, a Niemczysko myślał, że się już naradzają, za wiele mają sobie kupić jego łaskę i miłosierdzie. Oni tymczasem zgodzili się na to między sobą, aby nie upierać się Niemcowi, lecz jechać z synami do cyrkułu i tam szukać prawa swego i dla swoich jedynaków.

Gdy się Niemczysko przekonał, że łapowego nie dostanie, postanowił zemścić się koniecznie.

Szymon i Antoni pojechali z synami do cyrkułu. Mandatarjusz zeskoczył z bryczki, pobiegł najpierw do izby, gdzie się odbywał asenterunek i szepnął coś doktorom i pochwalił się, że przywiózł tęgich chłopców i tych najpierw postawi. Wywołał tedy Wawrzka i Franka. Lecz nie udała mu się zemsta tylko w połowie, bo Wawrzek uciął sobie przypadkiem będąc jeszcze małym trzy palce u nogi siekierą, a doktorowie takiego w rekruty przyjąć nie mogli. Nie tak się stało z Fran-

kiem. — Ten był o wiele mniejszy i słabszy od Wawrzka, ale że miał wszystkie palce i zęby, więc poszedł w rekruty. Mało serce nie pękło Antoniemu, kiedy ujrzał jak Franka z pod miary posadzili na stołku i nuż mu strzydz włosy blisko głowy, wojskowym sposobem.

Szymon nie tyle się ucieszył uwolnieniem swego syna, jak bolał nad smutkiem Antoniego. Wyciągnął go prawie zkamieniałego z izby i pospieszyli czemprędzej do starosty prosić o łaskę i prawo, lecz z wielkiem przerażeniem dowiedzieli się, że sarosta wyjechał gdzieś i dopiero za tydzień wróci, a tu dziś przysięga i transport rekrutów odchodzi. Prosili to tego to owego komisarza, by wglądnął w ich prawo i dał im sprawiedliwość, lecz każdy Niemiec ich odprawił z niczem mówiąc.

— Do rekrutacyi jest komisya, a my nie poradzimy.

Wrócili i chcieli prosić komisyę, ale jak tu do niej przystąpić, kiedy to między tymi panami siedzi Niemczysko, a rozmawia, a uśmiecha się, a za ręce się ściska. Biednego chłopa tam nie przypuszczą, bo nie mają czasu dochodzić tam dzisiaj, kto ma prawo jakie, a kto go nie ma. Nim Szymon i Antoni wrócili, już Franek przysiągł na wierność cesarzowi.

— W Bożej mocy jest los i życie człowieka — zawołał stroskany Antoni. Jego opiece powierzam syna mego, jeżeli Jego wola, to mu i włos z głowy nie spadnie i Franek mój zdrów do domu powróci. — Pożegnał się Antoni z Frankiem, wściubił mu mieszek z pieniądzmi co miał przy sobie, pobłogosławił na drogę i długo patrzył w tę stronę, kędy syna jego powieźli. Mało ócz łzawych nie wypatrzył i wrócił na pół żywy do zagrody swojej. We wrotach czekały Szymonowa z Antoniową powrotu synów, a gdy ujrzała Antoniowa, że jej kochany Franek nie wrócił, omdlała z boleści i ledwo się jej dotrzeźwili, znów mdlała i tak żałośliwie wołała Franka, że się aż serce krajało. Pocieszali ją Szymon i Szymonowa, lecz gdzie tam ją pocieszyć, kiedy w sercu rana, a na to nie mają ludzie lekarstwa. Bóg jeden tam tylko dopomódz może.

III.
Franek w obczyźnie.

Wojna wre długo, het gdzieś tam daleko. Dochodzą wieści, iż wiele ludzi ginie, bo wojna bardzo krwawa, a o Franku

najmniejszej wieści. Skończyło się wreszcie wszystko, i wracają i zdrowi i kaleki do swoich zagród. Dochodzą wieści i o tych co zginęli, a o Franku głucho i żadnej pociechy dla zbolałego serca. Rozchorowała się Antoniowa i pożegnała się z tym światem. Szymonowa gospodarzyła w zagrodzie Antoniego, bo żal i smutek po tylu stratach tak przygniótł Antoniego, że nie dbał już o nic na świecie. Niedługo poszedł i Antoni, aby spocząć po tylu smutkach i użalić się przed Bogiem na ludzi niesprawiedliwych, a umierając na ręku Szymona prosił go, by dopilnował jego majątku i oddał go w całości Frankowi, jeżeli powróci.

Franek tymczasem pomału przywykł do swoich nowych kamratów i przestał tęsknić za domem. Sprytny i niegłupi, dosłużył się podczas wojny kapralstwa i pochwał. To mu się bardzo podobało, a kiedy to po skończonej wojnie zakwaterowali Franka na załogę w jednem wielkiem, bogatem mieście, co się zwie Hamburgiem, dobrze mu się tam działo. Tamtejsze Niemki dogadzały bardzo naszym Galicjanom, boć to podobały im się tęgie chłopcy, dorodne a wesołe. Franek też nie był ostatni, bo był chłopak ładny, a kiedy się pytali, który z nich chce powrócić do domu, mało kto chciał, a między tymi Franek nawet nie wspomniał o biednym ojcu i matce. Tam to pogubił i pozapominał Franek wszystkie dobre przykłady jakie wyniósł z chaty ojca swego, hulał z Niemkami, pijaczył i grał w karty. Otóż to i nasz Franek zgrał się pewnego razu tak, że został bez grosza i jeszcze coś przegrał z tych pieniędzy, które on jako starszy miał dla drugich wojaków u siebie, a za to w wojsku wielka kara. W tym frasunku przypomniał sobie na ojca i posłał pisanie, by mu ojciec przysłał dużo pieniędzy, boć tu w wojsku wielka bieda i w cudzym kraju wiele ich potrzeba. Odebrał to pisanie Szymon i zaniósł je do proboszcza dla przeczytania i porady. Odpisał tedy ks. proboszcz do Franka, że ojciec i matka już w grobie, a dobytek czeka na niego, by więc co rychlej prosił o pozwolenie i przyjechał do domu i objął swoje gospodarstwo. Włożyli też do listu tyle pieniędzy, ile ich trzeba na podróż i odesłali.

Skoro się tylko Franek dowiedział, że już sam będzie panem w domu i nikt jego nawyczkom przeszkadzać nie będzie,

zaniósł to pisanie do komendy i natychmiast uwolnili go od wojska i pozwolili wrócić.

IV.
Powrót Franka.

Wybrał się Franek w drogę ale nie sam, tylko wojackim zwyczajem zabrał ze sobą jakąś dziewkę włóczęgę, co to się żołnierza czepia i ciągnie się za nim jak smoła za butem bodąj i na wojnę, byle tylko nie pracować, dobrze jeść, pić i hulać, a takiej to już z żołnierzem najlepiej. Gdy oboje dojeżdżali do Zbudowiec, zostawił ją Franek w ka czmie i kazał jej czekać, dopóki po nią nie przyjedzie i nie zabierze do swojej zagrody.

Właśnie siedzieli Szymonowie przy wieczerzy, kiedy przyszedł Franek, a ci go od razu poznać nie mogli. Boć to już nie był ten sam Franek, dobry, poczciwy, skromny, ale jakiś butny junak ni do ludzi ni do Boga, co to ni ludzi ni miejsca nie uszanuję, a mówił takim jakimś pokręconym językiem, że go trudno było wyrozumi ć. Wszedł do chaty w czapce, nie pozdrowił ludzi i nie pochwalił Boga, jak to dawniej bywało. Prosili go do wieczerzy, lecz on jadłem prostem pogardził, tylko kazał się prowadzić do zagrody własnej. Wstał Szymon i poprowadził go do chaty. Tam mu opowiedział, co to się stało za jego niebytności.

— Oto tu na tem łożu skonała matka wasza w smutku i załobie po was, a nie ulżyliście jej żalu, nie daliście żadnej wiadomości o sobie Smutek odtąd zasiadł w chacie ojca. Płątał się on po tej drugiej stracie jak cień, i jadło mu nie smakowało i robota się go nie brała, a ciągle wzdychał i wołał, i Boga prosił, byście jak najprędzej wrócili i staremu oczy przymknęli. Zabrał ci się w rok po śmierci matki z tego świata i nie doczekał się żadnej wiadomości od was. Tam dziś spoczywają obok siebie w chłodnej ziemi, co ich żal ugasiła i czekają, rychło też Franek uklęknie nad ich mogiłką, zapłacze i pomodli się do Boga za dusze dobrych rodziców.

— Dosyć mi już te szyćkie wasze gadania — ofuknął Franek – juźcik mi o tem pisali a lepiej no pokaźcie mi szyćko i oddajcie, co ociec u was dla mnie zostawił i coście tu

za ten czas przygospodarowali. Niedużo tam prawcie o śmierci, bo kto już umarł, ten nic nie potrzebuje.

Dwie duże jak groch łzy spłynęły po twarzy Szymona, tak go w serce ubodła ta nieczułość Franka, boć nic tak nie boli jak niewdzięczność syna ku dobrym rodzicom i przyjaciołom.

– Ha stało się! Boże świeć nad ich duszą — rzekł Szymon — i począł oprowadzać Franka po całem obejściu i wszystko mu oddawać, jak się należało. A wszystkiego było pełno i porządnie, jak gdyby tu nigdy gospodarza nie brakło. Franek nic nie mówił, tylko szwargotał pod nosem z niemiecka, coś jakby przekleństwa, a cmokał językiem, jakby ze wszystkiego był niekontent, a kiedy już wszystko obeszli, rzekł:

— Inaczej tu było przedtem, ani połowy nie ma tego co było. Widać dobrzeście się moim dobytkiem dzielili. Gdybym to tak później wrócił, tobym ponoś i gołych ścian nie zastał. No, no! już my się potem obrachujemy, co komu należy. Za waszą fatygę zapłacę, a swoje odbiorę. A teraz idźcie sobie, zkądeście przyszli i nieprzyprowadzajcie mię do gniewu waszą uczciwością bo was rozumu nauczę. – Zakrwawiło się serce Szymona na takie obelgi, żywiej przebiegła krew po starych żyłach, opuściła Szymona zwykła starym powolność i z oburzeniem zawołał:

— Toć ja na to przeżyłem lat tyle na świecie uczciwie i rzetelnie, by mi łżył na moje stare lata taki chłystek i....

Nie dokończył słów swoich Szymon boć Franek jak nie wrzaśnie Kraic donnerwetter maszir!— porwał za barki starowinę i wytrącił za wrota.

Gdy się Franek pozbył najlepszego przyjaciela, drugiego ojca swego począł się sam rządzić w swojej zagrodzie. Najpierw sprowadził sobie gospodynią ową kochankę, co się z nim przywlekła, a którą to był w karczmie zostawił, i nuż hulać dobytkiem ojca, jak był nawykł przy wojsku.

Zagroda Franka stała się istną karczmą: kto chciał, tam przesiadywał, jadł, pił i grał w karty. Rozniosła się w krótce ta gościnność Franka w okolicy, i nuż poczęli się ściągać wszyscy urlopnicy i lekkoduchy Nańka jego kochanka, mizdrzyła się do urlopników i jeszcze pomagała trwonić dobytek Antoniego. Widział ci to wszystko Szymon, co się dzieje w zagro-

dzie Franka, upominał go, lecz ten mu jeszcze procesem groził. Szymon przecież lubił Franka i chciał go koniecznie sprowadzić na dobrą drogę. Poszedł więc do proboszcza i opowiedział mu wszystko. Ksiądz proboszcz posłał po wójta a ten przystawił Franka do proboszcza. Kiedy przedstawienia i namowy nie pomagały, zagroził mu proboszcz, że jeżeli się nie ożeni choćby już i z Nańką, by nie było w wsi zgorszenia, tu mu ją odeśle tam, zkąd przyszła. Trudna była rada, żadnaby się dziewczyna niebyła przydała do Franka tak jak Nańka, boć to i ona dobrze piła i w karty grać pomagała. Poślubił więc Franek Nańkę, ale o poprawie nie pomyślał.

Bezdzietni

II.

I dziad i baba raz w niedzielę
W koszulach bielutkich aż miło
Na przyzbie oboje siedzieli.
Słoneczko na niebie świeciło
I ani jednej chmurki — cicho
I lubo jak w raju.
Schowało się gdzieś licho
Jak zwierz w ciemnym gaju.

W raju takim czemuż starym
Serce posmutniało?
Czy się dawne jakie licho
W chacie odezwało?

Nie wiem ja, o czem dumają
Starzy, chyląc sędziwe skronie.
Może się już wybierają
Do Pana Boga
I myślą: daleka droga?
Kto to im dobrze zaprzęże konie?
„Kto nam Naściu zamknie oczy,
Kto nas pochowa?“

„I ja nie wiem... Dawno to już
Waży moja głowa,
Aż mi smutno: sami jedni
Codzień starzejemy,
A nie wiemy jeszcze komu
Dobro przekażemy.“
„Posłuchajno?... czekaj!. słyszysz?
Coś tam za wrotami
Jak dzieciątko płacze!.. słyszysz?
Biegnijmy!!!
— „Bóg z nami!“

„Wszak mówiłem, że coś będzie“.
Razem się zerwali,
Biegną do wrót — i w milczeniu
Nagle postawali.

Patrzą: tuż koło przełazu
Leciutko spowite
Dziecko leży, nowiuteńką
Świteczką okryte.

Ach to matka spowijała
Na dzień letni świtką lnianą!..
Patrząc się modliła
Para siwa. A serdeczne
Jak gdyby błagało,
Z upowicia ku obojgu
Rączki wyciągało
Drobniuteńkie... i zamilkło,

I już tylko kwili
A nie płacze.
„A co Naściu,
Cośmy to mówili?
Ot i szczęście, ot i dola!
Widzisz, Bóg łaskawy!..
Bierz go prędzej, bierz spowijaj!
Widzisz jaki żwawy!
Nieś do chaty, ja zaś na koń
Zwinę się z kumami.
W Horodyszczach."

Dziwnie jakoś
Dzieje się tu z nami!
Jeden syna rodzonego
Wypędza, przeklina,
Inny świeczkę za grosz krwawy
Kupuje chudzina
I stawia ją przed obrazem
Z modlitwą i łzami —
Nic ma dziatek!.. Dziwnie jakoś
Dzieje się tu z nami! —

Taras Szewczeńko tłum Sowiński.

Dobry uczynek.

Późno w nocy jednym konikiem w zimie powracał Maciej Warga z jarmarku. Silny mróz przejmował do kości i tamował oddech. Księżyc świecił jasno, żeś widział jak we dnie, a gwiazdy iskrzyły się ogniście. To też Maciej skrył się mocno w kożuch, otulił się do tego derką tak, że mu zaledwie nos widać było.



Zacinał konika i szybko pędził saneczkami do domu. Biedaczysko martwił się i bał niemało, bo tu las gęsty niedaleko — może wilczysko się kręci — a do chaty jeszcze opętana mila. Kiedy się zbliżał do lasu, przeżegnał się kilkakrotnie, polecił się Bogu — popatrzył znów przed siebie, — nic nie było

widać, jak tylko białą, iskrzącą się drożynę, wijącą się jak wstęga wśród lasu. Pospieszał Maciej przez las, ile konikowi sił starczyło, zawinął się jeszcze lepiej, ale oczy i uszy wytęża, czy też przypadkiem nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Wtem zda mu się słyszeć jakieś głosy — ogląda się na wszystkie boki — przeląkł się nieco, przeżegnał się krzyżem świętym i pospieszył czemprędzej. Ale głos, im dalej jedzie, tem więcej się zbliża. Maciejowi dusza na ramieniu siedzi, aleć cóż robić, wracać nie wypada, więc w imię Boże jedzie — Aż tu nagle głos staje sięcoraz wyraźniejszy, podobny do kwilącego dziecka. Maciejowi lżej się zrobiło na sercu, zlazł z saneczek, wytężył wzrok na wszyskie strony i zdala zobaczył jakąś postać ludzką, siedzącą na śniegu i tulącą coś do siebie. Przyspieszył kroku za saneczkami, aby się trochę ogrzać i wkrótce stanął przed ową postacią.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedziała mu kobieta - tuląca i ogrzewająca małe dziecię u piersi. Zlitujcie się gospodarzu nademną, biedną kobietą! — wracałam z jarmarku, gdy nagle obskoczyli mnie niedobrzy ludzie ze wszystkich stron, zabrali wóz i konie, obili niemiłosiernie furmana, że bez życia i prawie nago leży. Oj biednaż ja biedna! — cóż ja teraz pocznę!?

Maciejowi łzy się zakręciły w oczach, a choć go i strach przejmował silny, nic jednak nie mówił, pobiegł czemprędzej po furmana leżącego opodal w śniegu, obmył jego rany, położył wzdłuż na saneczkach i okrył derką. Następnie zdjął kożuch ze siebie, otulił kobietę z dzieckiem, posadził ją na saneczkach, zaciął konika, i sam z tyłu biegł za saneczkami, już to, aby konika nie męczyć, już też, aby się ogrzać, bo został tylko w sieraku, a zimno było dokuczliwe.

Szczęśliwie stanął nareszcie w domu, zniósł do chaty nieszczęśliwych, usłał im słomy i siana na izbie, okrył czem mógł. Maciejowa nie mogła się na jego opowiadanie utulić z żalu i strachu, czemprędzej zgotowała rosołu, aby ich posilić — i wkrótce położyli się do snu.

Na drugi dzień wypytał się Maciej kobiety, zkąd pochodzi, i co dalej zamyśla zrobić. Opowiedziała mu całe zdarzenie i prosiła, aby ją zawiózł do pobliskiego miasteczka. Maciej

znów zaprzągł swego konika i wyruszył w drogę. Stanął przed sądem w miasteczku i opowiedział, co się stało. Rozesłano pogoń na wszystkie strony, ale złoczyńców nie można było nigdzie wyśledzić. Furmana oddano do szpitalu, a krewni nieszczęśliwej przyjęli ją do domu. Chcieli Macieja wynagrodzić, ale on nie dał sobie nawet mówić o tem, i czemprędzej powrócił do domu.

Minęło lat kilkanaście. Maciej mimo pracy i zabiegów nie mógł jakoś przyjść do dostatku. Spaliła mu się chata ze wszystkim dobytkiem i nędza zawitała, a tu z nikąd ratunku, bo choć wszyscy kochali Macieja jako człowieka uczciwego, przecież nikt mu nie mógł dopomódz, bo to był przednowek, i każdy musiał myśleć przedewszystkiem o sobie.

Wtem razu pewnego zajechał powóz do wsi, i młody jakiś panicz wysiadł przed plebanją. Wkrótce potem służący z plebanji dopytywał się we wsi o Macieja Wargę. Mieszkał on komornem u dawnego swego przyjaciela, w chacie nizkiej, biednej, obszarpanej. Kiedy służący wchodził do izby, uciszyła Maciejowa płaczące dzieci i rozdzieliła między nie ostatni kawałek chleba Maciej zebrał się czemprędzej i podążył wolnym krokiem do plebanji, ciekawy, po co go ks. proboszcz do siebie prosi.

— To to wy Macieju — zawołał ów panicz, — coście mnie ze śniegu z matką wyratowali?

Maciej zamyślał się chwilę, wreszcie odrzekł:

— Chyba żartujecie paniczu, przecież was pierwszy raz widzę.

— Ot nie zapierajcie się dobrego uczynku, bo choć to już dawno bardzo, choć i ja was wcale nie znam, przecież nieboszczka matka opowiadała mi nieraz, jak cudownym prawie sposobem wyratowaliście ją od śmierci.

Maciej przypomniał sobie zdarzenie, ale nagrody jaką mu panicz ofiarował, wziąć nie chciał żadną miarą. Nareszcie za namową księdza i panicza dał się skłonić, że przyjął służbę polowego w poblizkiej wiosce, którą panicz niedawno zakupił i już na drugi dzień pożegnał się z znajomemi i przeniósł się na nową

siedzibę, gdzie dotąd żyje szczęśliwie i spokojnie, a Panu swemu wywdzięcza się pracą i pilnością, bo nie chce', aby mu płacono za dobry uczynek, tylko za pracę.

Najnowsza książeczka Wydawnictwa Alfreda Młockiego: „O świętobliwym Kazimierzu Korsaku, który z pana został wieśniakiem."

Nakładem Alfreda Młockiego wyszła znów książeczka pod tytułem: „Historya o świętobliwym Kazimierzu Korsaku" — a kosztuje tylko 5 centów. Już to podobno raz opowiadał wam w Dzwonku Józef z Bochni o życiu błogosławionego Kazimierza Korsaka, więc wam tego powtarzać nie będziemy. Ale autor książeczki opowiada także ładne historye o rodzinie Korsaków, o jej czynach wojennych, o Iwanie groźnym i t. d. Kilka ciekawych ustępów pozwalamy sobie zatem podać naszym szanownym czytelnikom:

Na wschód od ziemi zamieszkanej przez Mazurów, leży kraj litewski. Dzielny to lud ci Litwini, pracowity, pobożny i gościnny, a ziemię ojców swych, to już tak kocha, że wolałby raczej śmierć ponieść, niźli odprzedać swą ojcowiznę.

Moskale szyzmatyki srodze teraz prześladują Litwinów.

Dawnoto już, bardzo dawno temu, bo dochodzi pięćset lat, kiedy Litwini nawrócili się na wiarę katolicką. Rządził wówczas krajem litewskim Władysław Jagiełło, ten sam, którego także naród polski na króla swego wybrał.

Panował on długo i szczęśliwie, a kiedy Pan Bóg zabrał go z tego świata, dziadowie nasi zeszli się i radzili, kogoby tu znowu zrobić królem. Jedni chcieli tego, a drudzy innego, ale wszyscy zgadzali się na to, żeby naród polski i litewski jedno stanowił państwo, żeby nad temi dwoma narodami ten sam król panował. „*Bądźmy zgodni i trzymajmy się razem*" mówili Polacy i Litwini, „*bo razem łatwiej się obronimy przeciw naszym wrogom Tatarom, Moskalom i nienasyconym Niemcom.*" Jak mówili, tak też i zrobili, i obrali zgodnie królem jednego ze synów Władysława Jagiełły.

Świetne nastąpiły dla ojczyzny naszej czasy, lud był szczęśliwy, miał się dobrze, podatki były małe, a wrogowie bali się nas zaczepiać. W tych to szczęśliwych czasach, za panowania

króla Zygmunta Augusta, jednego z prawnuków Władysława Jagiełły, żyła na Litwie niedaleko granicy moskiewskiej bogata rodzina Korsaków.

Była to rodzina bardzo liczna i od wszystkich wielce poważana i lubiona, nie dlatego, że była bogata, boć bogactwo nie jest jeszcze ani przed Bogiem ani przed ludźmi i ojczyzną żadną zasługą, ale dlatego, że Korsakowie dzielnie stawali w obronie wiary i ojczyzny swej, kiedy była potrzeba. Potrzeba taka nieraz się zdarzała, bo Korsakowie mieszkali nad granicą moskiewską, a Moskale naród okrutny i na cudze łakomy, kiedy mogli to wpadali do kraju naszego; pustoszyli wsie i miasta, mordowali ludzi, a tych, którzy pozostali przy życiu, brali do niewoli dla swego cara.

Car ten zwał się Iwan groźny, i był okrutnik jakiego świat jeszcze nie widział. Trudno tu opisać, co za straszliwe okrucieństwa ten car Iwan wyrabiał, i jak się nad ludźmi znęcał. Budowniczemu, który mu pałac wystawił, kazał oczy wyłupić, aby podobnego pałacu nikomu innemu nie mógł wymurować. Za najmniejsze przewinienie kazał wieszać i ćwiartować. Miał ten niegodziwiec także laskę drewnianą, na dole okutą ostrem i szpiczastem żelazem. Kiedy przyszedł do niego ktoś, kogo nie lubił, stawiał mu ową laskę na nogę, a rękami opierał się o nią tak silnie, że żelazny koniec przebijał nieszczęśliwemu stopę na wskroś. Iwan tymczasem udawał, że nic nie widzi i rozmawiał z biedakiem tak długo, póki tenże osłabiony bolem i utratą krwi nie upadł na ziemię. W wolnem mieście Nowogrodzie, które nie chciało uledz jego przemocy, kazał znowu kilkadziesiąt tysięcy mieszczan wymordować i wiele jeszcze innych okrucieństw popełnił, — ale wszystkie trudno zapamiętać. Z wojskami tego moskiewskiego okrutnika Iwana musieli Korsakowie nieraz walczyć — broniąc siebie i ludu wiejskiego.

Razu pewnego, gdy Moskale znowu naszli ziemię litewską i po zwyczaju zaczęli rozbijać i palić, zebrali się wszyscy mężczyzni z rodziny Korsaków, uzbroili się czem kto mógł, i wpadli na Moskali. Dzielnie się bili nasi Korsakowie, gdzie się który zamierzył, padał Moskalisko na ziemię i pewnie już więcej nie powstał. Czas jakiś trwała bitwa, aż też Moskale widząc, że nie ma rady, zaczęli zmykać na wszystkie strony.

Nasi gonili za nimi co koń wyskoczy, a gdzie jakiego Moskala dopadli, bili bez litości, że całe pole zasłane było moskiewskiemi trupami. Na pamiątkę tego zdarzenia nazwali okoliczni włościanie miejsce, gdzie Korsakowie tak dzielnie pobili Moskali: *Korsakowe pole*, i tak się też po dziś dzień nazywa.

Innym znowu razem, wysłał car Iwan do Litwy dwa wielkie wojska: jedno liczyło pięćdziesiąt tysięcy ludzi, drugie miało dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy. Oba te wojska miały się połączyć i ruszyć na Wilno, stolicę Litwy. Mniejszy moskiewski oddział postąpił pod wieś Czaśnik, i czekał tam na posiłki. Dowiedział się o tem dowódzca wojska polskiego i litewskiego, książę Radziwiłł, wziął ze sobą jazdę i ruszył na Moskali. Przez szpiegów dowiedzieli się Moskale, że Radziwiłł się zbliża, i ustawili się w szyku bojowym. Na przodzie ustawił ich dowódzca, książę Szujski, tak zwany po moskiewsku „Kowany raz“, to jest zastęp żelazny. Była to jego najlepsza piechota. Polska i litewska jazda, wychodząc z pobliskich krzaków, zaczęła się ustawiać w szyk bojowy. Moskale stali spokojnie i z dumą mówili: „Niech no się wszyscy pokażą, a nauczymy ich rozumu.“ Pierwsi uderzyli Litwini, a na ich czele znowu jeden z odważnych Korsaków, i tak dzielnie przyparli Moskali, że ci ani razu nie mogli wystrzelić ze swych armat, tylko wszystko porzucili i czemprędzej zmykać zaczęli. Cała bitwa bodaj dwie godzin trwała. Z Moskali i śladu nie zostało, choć mieli 25,000 wojska, a naszych było tylko cztery tysiące.

Zachód słońca nie przeszkadzał pogoni, bo księżyc świecił a śnieg tak blasku dodawał, że było jasno jakby w dzień. Legło w tej bitwie dziesięć tysięcy Moskali. Księcia Szujskiego dopadł w ucieczce chłop litewski i mszcząc się za rozboje Moskali, uderzył go kilka razy siekierą w głowę, że zginął na miejscu.

Cały obóz z wszystkiemi zapasami i kosztownościami, wiele naczyń srebrnych i złotych, koni i wozów aż pięć tysięcy, zabrało wojsko polskie i włościanie okoliczni, którzy nadbiegli swoim pomagać. Zginął też w tej bitwie Moskal nazwiskiem Byków; miał on półpięta łokcia wysokości. Świetne to było

zwycięztwo, a wiele przyczynił się doń jeden z Korsaków, co pierwszy dopadł Moskali.

W tej to poczciwej rodzinie urodził się około (1570) tysiącznego pięćsetnego siedmdziesiątego roku nasz Kazimierz, o którym czytaliście już historyę w Dzwonku z roku 1868.

Rozmaitości.

— Wojtek, Icek i spółka. W pewnej wiosce mieszkał żyd Icek spekulant. Wszedł on w spółkę z gospodarzem Wojciechem o rzeź. Spółka utrzymywała się dość długo, na czem oczywiście Icek lepiej wychodził.

Skład główny mięsiwa był w komorze Wojciecha. Jednego dnia spracowany Wojciech przyszedł wieczór do domu i zasiadł do misy ziemiaków.

— Maryś! ziemiaki nie okraszone?

— A juścić nie!

— Jakoś nie lezą przez gardziel.

— Czemże man okrasić, psiem sadłem?

— Słuchajno! — Jest tam w komorze pięć funtów żydowskiego łoju; weź to, okraś a żydowi powiedz, że kot zjadł. Wystarczy to na kilka dni.

— Ha! niech i tak będzie.

Maryna poszła, łój wzięła, zostawiła okruszyny na ziemi dla znaku że tu kot był, okrasiła ziemniaki obficie tak że się Wojtek oblizywał.

Na drugi dzień przyszedł Icek po łój, który mu się ze spółki należało.

— Wojciechu! dajcie mi ten łój.

— Ale! łój! kiej go ta preklęta marcha zjadła!

— Kto zjadł? — co to jest? jak zjadł?

— A juści zębami. Kot wlazł do komory i pożarł.

— Pokażcie no mi tego kota, mój Wojciechu!

— A siedzi szkodnik na ławie

— Dajcie no wagę.

— A to jest przy piecu!

Icek wziął wagę, ustawił, kotowi związał nogi, położył na szalce iczął przeważać.

Kot akurat miał pięć funtów

— Wojciechu! — to jest łój. rychtyk pięć funtów, a gdzie kot? hę?

— Ślepyś ty czy co? — na wadze!

— Ny on zjadł pięć funtów łoju, a sam ma pięć! więc to jest łój — a gdzie jest kot?

— Ha! to go sobie weź, kiedy to łój!

Sprzeczka się skończyła wypchnięciem Icka za drzwi — ale przed spowiedzią Wojciech oddał z procentem pięć funtów łoju, przeprosił Icka uczęstował i spółka dotąd się utrzymuje.

— Nowa książka. Nakładem Wydawnictwa Mrówki wyszła książeczka pod tytułem: „Najemnica“. Jest to książeczka napisana wierszem przez ukraińskiego poetę Tarasa Szewczeńkę, a przetłumaczona na polski język przez Leonarda Sowińskiego. Taras Sewczeńko pisał swoje wiersze w języku ukraińskim, ludowym — kochał lud wiejski niezmiernie i dla niego całe życie pracował. Nie lubił Moskali okrutnie — bo oni ten lud strasznie uciskali. To też car Mikołaj moskiewski, co to chciał wszystkich

Ukraińców na Moskali przerobić, kazał go oddać w sałdaty — gdzie od niewygód i choroby ciężkiej nieszczęśliwy Szewczeńko życie zakończył. Podaliśmy krótki wierszyk z książeczki jego „Najemnica“ pod tytułem: Bezdzietni.

— Księgosusz. Teraz, kiedy zapanowała znowu choroba księgosuszu w różnych miejscowościach naszego kraju, poczytujemy sobie za obowiązek udzielić naszym czytelnikom przepis środka ubezpieczającego ..iw tej strasznej zarazie, które ...rstwo nietylko że nie jest kosztownem i łatwo da się przyrządzić, lecz nadto w żadnym razie szkodliwem być nie może — Oto ten przepis:

Bierze się koperwasu pół funta, saletry łutów 8, siarki szarej łutów 8, kredy miałkiej łutów 4, kamfory łutów 2; po utłuczeniu tego wszystkiego, nalać na to 4 kwart wody miękkiej (ażeby kamforu dała się sproszkować, trzeba ją pierw skropić spirytusem lub winem). — Jeżeli zaraza jest w okolicy, macza się codziennie dla każdego bydlęcia kawałek chleba w tem lekarstwie i daje mu zjeść na czczo. Jeżeli zaraza jest już we wsi, to daje się tego lekarstwa każdej sztuce mały kieliszek tak.. na czczo przez trzy dni. Jeżeli ... zjawila się już w oborze gospodar.. to daje się każdej sztuce na czc.. po pół kwaterce także przez trzy dni.

Ponieważ lekarstwo to składa się z części ciężkich, przeto trzeba, zadając takowe, często mięszać kopystką w garnku polewanym.

Złote ziarna.

Precz z światłem! wołał głupiec, kąsan przez much roje,
Szukajże mnie teraz — w nocy się nie boję.

Są ludzie, którzy nigdy się mylą,
Bo w nic mądrego głowy nie wysilą.

Boże wielki! Kto w Tobie swą ufność położył
Milej zapewne skonał, niż nieufny ożył.

Szczęśliwy kto na własnej osiadłszy zagrodzie
Nie chodzi w świat o swojej i o cudzej szkodzie,
Bo kto może obcego posilić w swym domu
Stu zobowiązał — sam nic nie winien nikomu.

Palmą Chrystus obdarzył narody zbawione
Nam Polakom cierniową przekazał koronę
Pańska to jest korona i nośmy ją radzi
Krew pod nią zlana, nowe zbawienie sprowadzi.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.